

„Kierat” pokonał większość śmiałków

Czołówka rusza biegiem przez most i asfaltową drogę. Przypatruję się jej dobrze, bo widzę ją po raz ostatni.

W parny, piątkowy wieczór stanąłem na starcie **IV ekstremalnego maratonu pieszego „Kierat”**



Tomasz Mucha

tomasz.mucha@echomiasta.pl

Rok temu do mety dotarła prawie połowa zawodników. „I to ma być ten najtrudniejszy maraton w Polsce?” – pytałyście. Dlatego w tym roku trasa będzie bardziej wymagająca – mówił na odprawie Andrzej Sochoń. Cztery lata temu pierwszy raz rozstawił punkty kontrolne i wyprawił w drogę z Limanowej kilkanaście osób. Teraz na starcie stanęło ich 217. Tylko długość „Kierata” pozostała bez zmian – jedna, stukilometrowa pętla.

Początek z „wykopem”

Na początku kilometry uciekają jednak w błyskawicznym tempie. – Siedem na godzinę! – cieszy się Piotrek, mój towarzysz kieratowej doli i niedoli. Bo chociaż startuje się indywidualnie, mało kto zmagą się z setką sam. Wkrótce dołączają do nas jeszcze Grzesiek i Wojtek, których nie widzieliśmy nigdy w życiu. W marszu nawet znajomości nawiązują się błyskawicznie.

Pierwszy punkt kontrolny czeka na szczycie niewielkiej góry. Sędzia dziurkuje kartę startową i mobilizuje do marszu. – Dajesz, dajesz, ogieeń! – słyszymy za plecami, kiedy mkniemy w stronę

lasu. Przy szlaku mijamy czternaście stacji drogi krzyżowej. Może to przypadek, ale właśnie tyle punktów nam jeszcze pozostało.

Nocna ulga

Słońce zachodzi po kilku godzinach marszu. Noc witamy z ulgą, a właściwie nadzieją na ulgę. Za dnia temperatura nie spadała bowiem poniżej 30 stopni. Sędziowie rozdają co kilkanaście kilometrów butelki z wodą. Większość opróżniana jest na miejscu. Nikt nie liczy wypitych i wypoconych litrów. Liczymy natomiast odległości, punkty i przebyte kilometry. Z obliczeń wychodzi nam, że do „czwórki” nie oplaca się iść zosą. Szybsze będzie ścięcie bezdrożami. Gnamy więc z kompasem przez chaszczki, pokrzywy i bijące po twarzy gałęzie. Przed oczami stają wszystkie oglądane filmy o Wietnamie. Na drodze naszego perfekcyjnego azymutu wyrasta metalowa siatka. Skaczymy. Na wszelki wypadek przy wyłączonych latarkach. Po chwili z mroku wylania się dom i droga. Pomimo skrótu wciąż jesteśmy w tym samym miejscu stawki.

Szturm na bar

Temperatura spada bardzo powoli. Czuję to zwłaszcza na podejściach. Sznurek, na którym wisi karta startowa oplata gardło i chce zabrać mi resztki parnego powietrza. Złudzenie mija na szczycie Księżej Góry. Znowu zejście i kawałek asfaltu. O pierwszej w nocy szturmujemy



Plaźowa atmosfera pod sklepem. PONAD 30 STOPNI I PRAWIE 40 KILOMETRÓW DO POKONANIA

jemy otwarty bar. Wychodzący obladowani butelkami... wody. Bufetowa zachowuje stoicki spokój.

Godzinę później wreszcie wieje chłodny wiatr. Wraz z wypitą kofeiną poprawia się nastrój. Muzyka z odtwarzacza sama popycha pod górę, nasze skrótym razem okazują się sensowne. O świcie jednak wybieramy wygodny, choć kręty asfalt zamiast leśnej przecinki. Błąd. Do półmetka docieramy dopiero w pół do siódmej, nadkładając parę kilometrów i niepotrzebnie męcząc nogi twardym podłożem. Mimo wszystko 50 km trzeba uczcić kubkiem herbaty albo nawet dwoma. Byłe tylko nie zasnąć. Obok leżą zawodnicy, którzy godzinę temu położyli się „tylko na kwadrans”. – Idziemy, idziemy! – zrywają się wreszcie. Nie będziemy gorsi.

Ważny każdy metr

Będziemy natomiast zmęczeni. Przed nami trzy największe podejścia. Słońce znowu grzeje. – 32 stopnie – odczytuje Piotrek z wbudowanego w kompas termometru. Powinno się zabronić produkcji takich urządzeń. Pniemy się pod górę kamienistym leśnym traktem. Lubogoszcz. Zejście i poszukiwanie sklepu. Czuję wyrzuty sumienia za każdy metr, który nie przybliży mnie do mety. Do sklepu jest ich 300 w jedną stronę. Kolejne podejście, tym razem stokiem narciarskim. Idziemy z kijkami trekkingowymi, więc musimy wyglądać jak banda zagubionych narciarzy.

– A Justynę Kowalczyk panowie znają? – zagaduje starsza pani, która przyszła tu na spacer z psem.

Głowa nie sprostała

Trzecie podejście rozpoczyna się w pierwszych kropkach deszczu. Zaczyna grzmieć. Zaraz przestaje, a powietrze nie robi się nawet trochę lżejsze. Szczyt Łopienia osiągamy niemal bez zatrzymania i niemal bez tchu. 11 punktów za nami. 68 kilometrów. 20 godzin. Nadzieja na sukces graniczy z pewnością. I to ma być ten najtrudniejszy maraton w Polsce?

Deszcz spada. Nie pada smętnie, tylko zwała się na głowę mokrą ścianą. Ściana jest zbrojona gradem. Lek-

ka kurtka przeciwdeszczowa zawodzi w ciągu pięciu minut. Z kieszeni wylewam szklanek wody i telefon komórkowy. Spływamy do podnóża góry, by schronić się na przystanku autobusowym. Burza nie przechodzi, więc zrezygnowani przemydł dalej. Na polnych drogach woda sięga do kostek. Mapa zaparowała w plastikowej kuszulce, a kompasu nie chce się wyciągać spod mokrej kurtki. Błąd. Gubimy się i łudujemy daleko od dwunastego punktu. Leje dalej. Mięśnie schłodzone nagle po 70 kilometrach nie chcą dalej pracować. Ostatecznie przegrywa jednak mózg. Nie może znieść tego, że pomyliliśmy drogę. Czekamy dwie godziny na autobus do Limanowej. W przydrożnym sklepie

sprzedawczyni sadza nas na workach z ziemią i częstuje herbatą.

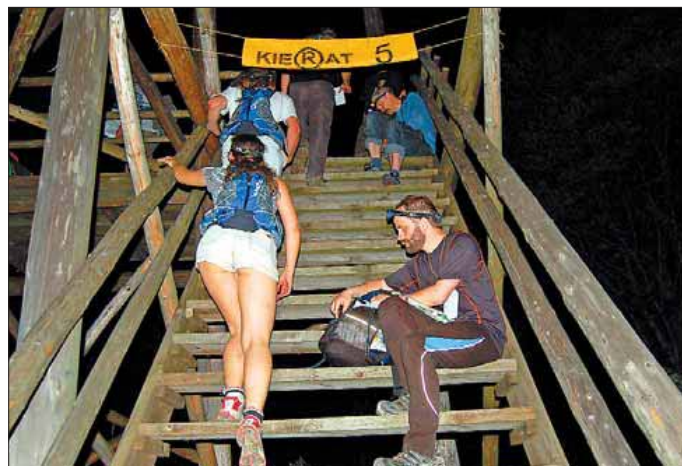
– Może jednak trzeba było iść dalej? – pierwsze wyrzuty sumienia pojawiają się już na mecie. Potrważaj jeszcze rok. Aż do następnego Kierata. ■

Kierat 2007

- 100 km drogi w Beskidzie Wyspowym
- 15 obowiązkowych punktów kontrolnych
- 4000 m różnicy wzniesień na trasie
- 32-godzinny limit czasu
- Tegoroczną edycję ukończyło 59 z 217 zawodników
- Najlepsi – Maciej Dubaj z Krakowa i Marcin Krasuski z Warszawy zrobili to w 17 godzin i 45 minut.



KIJKI TREKKINGOWE z powodzeniem może zastąpić tańszy model



KIERAT TO IMPREZA NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE. Piąty punkt kontrolny umieszczono na szczycie wieży widokowej